

## Harcerki

### Nogi miałyśmy jak sarny

Siedzą na ławce. Dziewięć dziewcząt w letnich sukienkach, większość z odsłoniętymi modnie czołami, nad którymi piętrzą się loki. Zastęp wędrowniczek uśmiecha się. W tle drewniany kościółek, kapusta i łubin - ogródki Dziesiątej. Zdjęcie robi Kazik Kowalski, ten co się kochał w Stefie, a ożenił z jej siostrą. W tym wieku zwykle czeka się na miłość. One czekają na kolejny rozkaz.

Mam w ręku inne zdjęcia: te w ochronce, imieninowe Justyny, z Krakowskiego Przedmieścia w dniu 3 Maja 1939 roku po uroczystościach patriotycznych. Te fotografie milczałyby - ot, wyjęte ze starego albumu ramoty - gdyby nie przyjaciółki z zastępu: Stanisława Kiewelówna-Witkowska, ps. Kazia i Zofia, ps. Stefa. Z całego zastępu, który w czterdziestym trzecim czekał roześmiany na miłość wśród kapuścianych grządek, żyją w Lublinie one dwie. A także, w Słupsku, Justyna Żurakowska-Tarka, najstarsza z nich, wówczas młoda wdowa - mąż, oficer został gdzieś w zbiorowym dole w Katyniu lub Starobielsku. A jeszcze do wczoraj żyła na szpitalnym łóżku Helenka Brzostowicz-Nakielska, ps. Basia. Dziś rano odeszła na wieczną służbę - oznajmiają mi z progu jej koleżanki.

- Spojrzałam w jej oczy i mówię: Halinka, kocham cię. Ale te jej oczy były już nie takie. Inne. Ona tak jakby się zastanawiała nad czymś... - pani Zofia zaciska powieki. - Od dziewięciu lat po udarze nie mogła mówić.

### Zdążyły ją pożegnać

Ta świeża śmierć jest teraz z nami, to się czuje. Przepraszam panią, pani Zofio, że namawiam do tych wspomnień, których pani tak nie lubi. Widzę, jak pani łzawią oczy, ale to - przecież wiem - nie z powodu jaskry, tylko tamtych przeżyć.

- To ja tak Zosię namawiałam na nasze spotkanie - mówi pani Stenia, autorka tekstów o wojennym harcerstwie, kronikarka zastępu wędrowniczek - spisuje każdy szczegół wojennych

przeżyć, pamięta o każdej druznie. Z regału w jej mieszkaniu wysypują się sterty książek, zeszyty notatek. Papierzyska - z pobłażaniem, ale i podziwem nazywa pani Zofia warsztat koleżanki. To też znak zgody na powrót do przeszłości.

### **Zdążyć przed kulą**

Za chwilę te piękne, stare kobiety znów wyruszą w podróż z walizeczkami, w których pod bielizną ukryły ważne rozkazy, dokumenty, listy, broń. Będą przemierzać nieznane ulice obcych miast, szukać konspiracyjnych adresów, mylić bramy i facjatki. Będą powtarzać sobie w głowie hasła. Będą drzeć z zimna i strachu. A po powrocie z kurierskich szlaków najpierw rzucą się na szyję mamie, potem rozpakują walizeczki, zakręcą włosy na papiloty z gałganków, żeby ich loki nad czołem piętrzyły się filmowo, zanucą prywatkowy przebój tej ich stłamszonej przez wojnę młodości: „Ach, nie odchodź ode mnie, nie daj tęsknić nadaremnie”.

Jest 1943 rok. Stefa, absolwentka seminarium dla wychowawczyń przedszkoli ma wówczas dwadzieścia trzy lata, Kazia - kiedy wybuchła wojna miała rozpocząć czwartą klasę u urszulanek - o dwa mniej. Wszystkie dziewczęta są kurierkami i łączniczkami Wojskowej Służby Kobiet Armii Krajowej. Prowadzą też ochronkę przy ulicy Kochanowskiego. Dzieci od trzech do czternastu lat trzeba nakarmić, maluchy zabawić i wytrzeć nosy, starszym pomóc nie tylko w organizacji zabawy, ale też zagonić do książki. Tajne nauczanie. Konspiracja. Kazia uczy najstarszych chłopców języka polskiego, historii i geografii. Poza tym ocierają się o śmierć.

W 1942 roku Niemcy zabierają się za dzielnicę Bychawska. Od rana pewnego październikowego dnia mieszkańcy mają się zbierać na placu pod szpitalem (mieścił się w budynku szkoły podstawowej nr 1). Trwa sprawdzanie dokumentów. Kennkarty Stanisławy Kiewelówny, Heleny Brzostowicz i Ireny Kamińskiej lądują w koszu. Dziewczęta są zatrzymane. Nie pomogły papiery stwierdzające, że pracują w Radzie Głównej Opiekuńczej, mają pod opieką ochronkę. Uwolnienie przychodzi w ostatniej chwili. Ktoś znajduje dojście, pomagają kontakty. Do obozu na Majdanku jedzie stu pięćdziesięciu innych lublinian.

A zdarzenie na ulicy Długiej? Tam kopią rowy więźniowie z obozu. Dziewczęta szybko rozpoznają teren i już rzucają im paczki. Chleb, smalec, cebulę - wojenne rarytasy. Zwykle się udaje, a tu wpadka. Zosia Słupczyńska i Stenia Kiewelówna maszerują pod esesmańską eskortą na Majdanek. Tam Niemcy każą im klęczeć i modlić się o cud. Ale przybiega jeden, może z pochodzenia Czech, może Ślązak, i krzyczy na eskortę. Minuty ciągną się jak wieczność. Ostra wymiana zdań trwa. Wreszcie Niemcy popychają je do głębokiego rowu. Obydwie czują ukłucie trwogi: zaraz zastrzelą i przysypią piachem. Ujadają esesmańskie psy. O czym się myśli w takim

dole za drutami? Wracają więźniowie z Długiej. W dole słyhać, jak klną na Niemców. Stanisława Witkowska zna późniejszą relację jednego z nich: robotnicy rzucili łopaty po ich aresztowaniu odmawiając pracy, zażądali uwolnienia kobiet. W tym samym czasie ks. Ignacy Żyszkiewicz, kapelan AK, szuka własnych dojsć. Niemcy w końcu jednak mają gest. Rrraus! - pada z góry wezwanie, każe Polkom wyjść z dołu i wracać do domu. Idą. Wydaje im się, że fruną. Chcą zdążyć przed kulą w plecy.

### **Nie łzy lecą, a grochy**

A na kurierskich szlakach? Zosia ps. Stefa pakuje tekturową wytartą walizkę. Pod warstwą bielizny chowa broń. Ma ją zawieźć do Warszawy. W pociągu kładzie ją na półce jak inni swoje bagaże. Szmuglerzy zestresowani: podobno łapią. Mają nosa. Żandarmi. Szykować bagaże. Zosia zdejmuje walizkę, otwiera ją, ale tak, żeby zasłonić zawartość wiekiem. Żandarm zagląda i wcale nie zamierza grzebać. Dojeżdżają szczęśliwie. W powrotnej drodze Zosia podróżuje z dwoma dżokejami - mają wziąć udział w zawodach hippicznych w Lublinie. Pokazują specjalne przepustki. Zosia też ma taką. Dlatego w Garwolinie, kiedy maszynista uprzedza ludzi przed łapanką zwalniając bieg, żeby mogli uciekać, Zosia z dżokejami siedzi spokojnie. Przecież ma przepustkę. Ale nie. Inny scenariusz. Niemcy wypędzają garstkę pozostałych. Na lewo ci, co pojedą na roboty do Rzeszy, na prawo dżokeje. Zosia ma iść na lewo. Idzie na koniec gromadki. Niech ja jak najdłużej postoję na tej polskiej ziemi - myśli. Podjeżdżają ciężarówki, pakują ludzi.

- Trzymam w ręku kennkartę, a z oczu mi nie łzy lecą, a grochy. Tak się płacze w życiu tylko raz - mówi jakieś sześćdziesiąt lat po tej kurierskiej podróży. - Zajrzałam w oczy temu Niemcowi i w duchu błagam go: nie zabieraj mnie, mama tego nie przeżyje! I znów te grochy... Wtedy ten Niemiec każe mi odejść od grupy. Poszłam pod taki płotek i ogarnął mnie spazmatyczny szloch. Nagle ktoś mnie bierze za rękę - to ten sam Niemiec - i prowadzi. Nie wiem gdzie. Truchleję.

A on wchodzi z Zosią do budynku zawiadowcy, podstawia taboret, wydaje dyspozycję kolejarzom, salutuje i wychodzi. Mają wsadzić dziewczynę na najbliższy pociąg do Lublina. Wsadzają na węglarkę.

- Pamiętasz, Steniu, miałam taki jasny kostiumik w niebieską kratkę, w nim właśnie jechałam - uśmiecha się do koleżanki pani Zofia. - Po tej podróży cały był czarny.

## **Rozkaz: do powstania**

A Stenia, ps. Kazia nosiła grypsy od więźniów Zamku - kilkakrotnieomal nie wpadła w kocioł. W Krasnymstawie, wypełniając kurierskie zadanie, miała dojść do młyna. Po podróży na lokomotywie, noclegu w zapchanej salce stacji kolejowej w Rejowcu, dotarła do celu. A tam, we młynie Niemiec w mundurze gestapo. Dziewczyno, ja już od wczoraj na ciebie czekam! - zawołał jednak czysto po polsku, bo to był przebrany akowiec.

Zemdlała na widok stosów ciał na Lubelskim Zamku w lipcu 1944 roku. Żyjących jeszcze więźniów próbowały ratować jej koleżanki z zastępu. Pobiegły również na Majdanek. Krematorium dyszało żarem palonych w pośpiechu ciał.

Kiedy Lubelski Zamek wciąż spływał krwią, a mieszkańcy miasta zabierali z pieca Majdanka niedopalone ludzkie szczątki, by je godnie pochować, Warszawa szykowała się do powstania.

Po wojnie Eugenia Wachowska, ps. Emilia powie Stanisławie Witkowskiej, z którą spotka się w jednej szkole, że wtedy, w sierpniu 1944 roku wszystkie lubelskie kurierki chciały iść do powstania. Aż musiała je uspokajać. To od Emilii, zastępcy szefa łączności Komendy AK Lublin dostały rozkaz wyjazdu Stenia i Zosia. Stenia powiedziała rodzicom (tata był kolejarzem), że jedzie do koleżanki. Dotarła do Puław, tam zabrała się dalej ciężarówką z polskim wojskiem. Potem trochę furmanką, jakimś villisem.

- Nie myślałam, że mogę nie wrócić - mówi Stanisława Witkowska. - Myślałam, żeby wykonać zadanie. To był zaszczyt dla nas, że mogłyśmy przyłożyć rękę do pokonania Niemców. Nie odmawiałyśmy rozkazom. Raz tylko w naszym zastępie jedna z koleżanek przeraziła się, że nie da rady. Ludzkie. Wtedy, pamiętam, Justyna Żurakowska, wdowa po oficerze, matka malutkiego Łukasza, mówi: „To ja pojedę za ciebie, tylko synka wychowaj, gdyby coś mi się stało”.

Na powstanie Stenia nie dojeżdża. Przed Garwolinem czeka kordon radzieckich wojsk. Rosjanie nie przepuszczają.

Zosia dostaje rozkaz wyjazdu w parę dni po mordzie na Zamku.

Żegna się z mamą. Mama mówi: dziecko, nie szkoda ci życia? Ale przecież w sercu akceptuje konspiracyjną pracę córki. Zosia wyrusza. Zapamiętuje miasto: trupy ludzi leżących na ulicach i rozdęty upałem brzuch martwego konia. Myśli o tym, że trzeba będzie przepłynąć Wisłę, a ona przecież nie umie pływać. Ta myśl ją dręczy. Zabierają ją na ciężarówkę Rosjanie. Siedzi cicho jak mysz pod miotłą. Samoloty zjawiają się niepostrzeżenie i siekają śmiertelnymi seriami. W czasie nalotów ludzie rozpierzchają się, Zosia próbuje ukryć się myśląc, że pod kilkoma kłosami zbóż będzie dla Luftwaffe niewidoczna.

W Garwolinie przystanek. Dalej uparte sowieckie: nie Izja! Ale Zosia zawzięła się: ma dojechać z meldunkiem do Warszawy i już. Więc czeka. Dwa dni, tydzień. W stodole, gdzie się chroni z uciekinierami, ktoś rzuca: w Warszawie powstanie! Nie przejdzie linii frontu, nie ma mowy. Do Lublina wraca smutna, bo nie wykonała zadania.

- Za to przywiozłam dobytek: wszy leciały mi z głowy jak kasza.

### **Czarna Janka z Batalionu Kiliński**

Stanisława Witkowska nie byłaby skrupulatną kronikarką wojennego harcerstwa, gdyby nie wspomniała Janiny Łotockiej.

- Bo ona była w powstaniu! - zaznacza. - Musimy o niej powiedzieć.

Skrót tego fascynującego życia. Lublinianka, absolwentka liceum im. Unii Lubelskiej. W wakacyjne przedwojnie 1939 roku Stenia spotkała ją na obozie w Żabinach, na pograniczu Prus Wschodnich. Była duszą obozu, porywała dziewczęta entuzjazmem. Kochała śpiewać. Harcerki przygotowywały siebie i tamtejszą zróżnicowaną narodowościowo ludność do wojennej mobilizacji. W czasie okupacji - w stopniu instruktorki łączności - już jako Czarna Janka rzuciła się w wir pracy konspiracyjnej. Była kurierką, organizowała pomoc dla ludności wysiedlonej z Pomorza. W czasie pacyfikacji Zamojszczyzny, na zgliszczach wsi, z kryjówek i dziur zbierała przerażone, półprzytomne dzieci i przewoziła je bezpiecznie do Lublina.

- W grudniu 1943 roku - spalona w Lublinie - dostała rozkaz wyjazdu do Warszawy. A tam powstanie. „Przewody telefoniczne poprowadziłam z Poczty Głównej do ulicy Świętokrzyskiej, Świętokorzyską do Marszałkowskiej, tam wzdłuż barykady osłonowej i piwnicami (...) - relacjonowała, co znalazło się w książce Bronisława Lubicz - Nałęcz „Batalion Kiliński - AK 1940 - 1944”. Była w nim łączniczką. Po wojnie pisała do Steni: „(...) wielokrotnie powinnam była zginąć, zostać zastrzelona, ale Pan Bóg oszczędził”.

Przeżyła, skończyła medycynę i znów niosła pomoc ludziom. Zmarła w 2002 roku.

Stenia i Zosia zostały po wojnie nauczycielkami. Zastęp rozpierzchł się. Reżim stalinowski wsadzał do więzienia, także harcerki. Szantażował, próbował zmuszać do kolaboracji. Stanisława Witkowska, dziś harcmistrzyni seniorka, dokumentuje także powojenne losy tamtych druhen. To mój obowiązek - kwituje.

Pytam, czy warto było nadstawiać kark. Generalnie tak.

- Ale przecież nie o taką Polskę walczyliśmy, w której człowiek zabija człowieka na ulicy - wyrzuca z siebie pani Zofia, ma za sobą taką rodzinną tragedię. - Ale wtedy... - wzdycha już pogodniej. - Wtedy, mówię pani, nogi miałyśmy jak sarny.